

Czarny manuskrypt

KRZYSZTOF
BOCHUS

Czarny manuskrypt



[Kup książkę](#)

Ta książka jest fikcją literacką
i wytworem wyobraźni autora.
Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest
niezamierzone i całkowicie przypadkowe.
Autor, korzystając ze swojej licentia poetica,
starał się oddać realia opisywanych miejsc,
ale tylko w takim zakresie,
na jaki pozwalała fabuła powieści.

*Moim wnukom,
Adamowi i Kacprowi Tomczakom,
poświęcam*

*Powiedz, gdzie jest Salomon, tak niegdyś wspaniały?
I gdzie jest Samson, niezwyciężony wódz?*

Jacopone da Todi

*My przecież – sprawiedliwie,
odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki...*

Ewangelia świętego Łukasza 23, 41

Rozdział I

Piekło i dzwon

1.

Chłopiec upadł z jękiem po kolejnym ciosie. Musieli mu złamać nogę. Miał wrażenie, że unosi się w powietrze, ponad ziemię, i widzi z góry swoją nienaturalnie skręconą kończynę, leżącą obok bezwładnego ciała. Jego własnego ciała. Słodka krew spływała mu po zmasakrowanej twarzy i zbierała się w kącikach ust. Było jej tak dużo, że gdyby leżał na wznak, zapewne by się zaczął dławić. Zmierzch zamazywał kontury napastników. Wiedział tylko, że było ich dwóch. Bili go metodycznie, na przemian, niezmordowanie. Milczeli. Nie usłyszał ani jednego wypowiedzianego przez nich słowa, tak jakby nie był tego wart.

Wyższy, o długich łapach, podwijał właśnie rękawy, pewnie z troski o mankiety białej koszuli. Zanim chłopiec zarejestrował, co robi drugi prześladowca, przeraźliwy ból rozdarł mu klatkę piersiową.

Zbir z bojowym, chrapliwym okrzykiem skoczył mu na piersi – jego ciężkie buciory miażdżyły mu żebra. Matko, to jeszcze nie koniec?! Przeszywający ból sprawił, że na chwilę stracił świadomość.

Gdy ją odzyskał, panowała cisza. Miał wrażenie, że przeżywa jakiś koszmar, który nigdy nie mógłby ziścić się na jawie. Jak to możliwe, że w ciągu kilku sekund wszystko zmienia się tak diametralnie? I może już

bezpowrotnie. Czuł, że życie wycieka z niego jak woda z rozbitego dzbanka. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętał przed tym koszmarem, to były czyjeś kroki za jego plecami i nagły ból w potylicy. Śledzili go? Kto? Nie widział na jedno oko. Kątem drugiego zauważył rozmyty kształt krzyża, a jednocześnie wyczuł przegniły zapach chryzantem. I wtedy usłyszał szmer. Oni nadal tu byli. Paniczny lęk ścisnął mu serce. Poczuł ciepłą stróżkę moczu rozlewającą się po spodniach.

Ktoś pochylił się nad nim, widział tylko białka jego oczu połyskujące w ciemności. Najpierw ten ktoś poczęstował go pancerną pięścią, co sprawiło, że przestał widzieć na drugie oko. Potem, nachylając się nad nim, wychrypiął mu coś do ucha, sprawdził, że Daniel zrozumiał, a następnie uderzył go pięścią jeszcze raz. Chłopiec, zanim spadł w otchłań, poczuł jeszcze zimne ostrze noża, wycinające mu na czole jakieś dziwne znaki na pożegnanie.

2.

Grafitowy adler sforsował ostatni koci łeb na zakręcie, wywołując mimowolne westchnienie siedzących w środku mężczyzn i z metalicznym zgrzytem zatrzymał się przed wejściem do katedry. Stojący przy drzwiach policjant zasalutował na ich widok.

Radca kryminalny Christian Abell przez chwilę lustrował kamienne, poczerwiałe od upływu czasu, odrzwia świątyni. Pamiętał jak przez mgłę jej ceglana nawę, zapach średniowiecznej stęchlizny i dziwną figurę przed ołtarzem głównym. Świętej Elżbiety, może świętej Katarzyny? Potrząsnął obolałą głową, na próżno usiłując wydobyć z pamięci strzępki wspomnień.

– Witam, panie radco – dobiegł go głos od frontu. – Czyżby nie bywał pan zbyt częstym gościem w świątyni Pana?

Radca spojrział w tę stronę i zobaczył utkwione w nim przenikliwe spojrzenie wysokiego chudego starca w czarnej sutannie. W świetle poranka jej wyświechtane rękawy lśniły niczym futro popielicy.

– Czekałem na pana. To straszne, co się zdarzyło... – Starzec urwał. – Jestem Rudolf Hoeness, proboszcz katedry pod wezwaniem Świętego Jana Ewangelisty¹.

– Radca kryminalny Christian Abell, z Prezydium Policji w Marienwerder, ksiądz zresztą wie, kim jestem. A to moi współpracownicy: wachmistrz Kukulka, lekarz sądowy Hecht i fotograf. Nie traćmy czasu.

Duchowny skinął w milczeniu głową i wskazując zapraszającym gestem na drzwi, poprowadził ich do wnętrza świątyni.

Kwidzyńska katedra pogrążona była jeszcze w półmroku. Pierwsze promienie słońca z trudem przedzierały się przez witrażowe okna, nieśmiało budząc zatopione w ciemności kształty, rzeźbione epitafia, konfesjonały i kontury biskupich tronów ustawionych pod ścianami. Długa na kilkadziesiąt metrów nawa wiodła ku ołtarzowi. Barokowy tryptyk przedstawiał scenę ukrzyżowania. Nozdrza Abella natychmiast wychwyciły uśpiony, a jednak zakodowany w nim zapach, który wiązał go z przeszłością i z tym miejscem: woń starych murów, gnijących papierów, kurzu i mysich odchodów.

Hoeness poprowadził ich wzdłuż głównej nawy, do bocznych drzwi, za którymi rozpoczęły się kręte schodki wiodące na dzwonnice. Policjanci ostrożnie wspinali się po stopniach z wygładzonego przez wieki kamienia. Po kilkunastu minutach stanęli na górze. Panował tu przenikliwy ziąb.